

## Mały pisarczyk z Małoszyc (2)

(Dokończenie ze strony 3)

ale na krótko przed zetknięciem się moim z nim, poprosiła go o rozmowę telewizyjną i wobec tego długo czekałem na rozmowę z nim. Potem jak się okazało zaabsorbowała go kobieta, która zdobywszy jego autograf, uparła się, aby narysować jej pisarz na książkę jakiś humorystyczny rysunek. Mrozek życzenie spełnił. Potem przyszła na mnie kolej, ale nie mogłem pogadać sobie z dramaturgiem, jakbym chciał, bo tłum na nas cisnął. Odszedłem pozytywnie załatwiony. Mrozek za życia tak bardzo mnie nie pasjonował. Znałem jego twórczość poprzez „Przekrój”, „Tygodnik Powszechny”, ale nie dotarłem do pogłębionej jej analizy. Zawsze – powiem tak na marginesie – zastanawiały mnie pewne szczegóły, tak z Mrozka, jak i z innych twórców. Co do Mrozka, pytałem siebie w duchu, dlaczego współczesną sztukę, która dotyczy czasów, kiedy działała milicja, Mrozek nazwał „Policjanci”? Pewnie był to tytuł zakamuflowany. Zastanawiał mnie też urok osobisty i zapobiegliwość materialna pisarza. Jego żona, Meksykanka, którą oglądałem w telewizji, była nadzwyczaj młoda i urokliwa. O Mroźku usłyszałem w kilka lat później, gdy zmarł w Krakowie i został pochowany na cmentarzu Rakowieckim.

**– Na początku lat 90-tych ubiegłego wieku dość często gościłeś na spotkaniach autorskich, z których zdałeś relację w twojej książce „Spotkania”. Ale coś poza tymi zapiskami jeszcze utkwiło pewnie w twojej pamięci, z czym pragnąłbyś się podzielić? Z jakimi pisarzami zetknąłeś się, niekoniecznie „przy drzwiach zamkniętych” czyli w pomieszczeniach stałych?**

– Po spotkaniach z kilkoma twórcami, cenionymi ludźmi pióra, miałem możliwość nawiązania kontaktu z pisarzem mniej znanym u nas w kraju, a wielce zasłużonym dla kultury polskiej, Jerzym Pietrkiewiczem. Był profesorem Uniwersytetu Londyńskiego, tłumaczem poezji Jana Pawła II, poetą, prozaikiem piszącym po polsku i po angielsku. W rozmowie z Jadwigą Marlewską, która chciała zgłosić moją kandydaturę do Nagrody im. Pietrzaka, padła propozycja, aby obdarzyć tym wyróżnieniem, dawniej PAX-owskim, teraz „Civitas Christiana”, Jerzego Pietrkiewicza. Na moją prośbę Zygmunt Trziszka złożył dokumentację o dorobku pisarza, a czynił to nie byle kto, bo obaj podtrzymywali przez długi czas kontakt listowy i nawet zdążyli się pogniewać na siebie (Trziszka

miał pisać książkę o Pietrkiewiczzu, ale nie mogąc się z nim porozumieć, nazwał go bardzo brzydko „gnomem”, co spowodowało zerwanie znajomości między nimi). I tenże Pietrkiewicz po obradach jury, w których wziął udział, a uczestniczył w nich i ks. Jan Twardowski, otrzymał tę Nagrodę za rok 1994. Pamiętam jak zjechał z Londynu, a ja i Jadwiga Marlewska, redaktor naczelna „Inspiracji”, witaliśmy go na lotnisku Okęcie. Jak ukazał się w boksie z długimi, rozwianymi i już siwymi włosami opadającymi na czarny aksamitny paltocik. Jak witał się serdecznie, moje i Marlewskiej ręce przyciskając do swego serca. Jechaliśmy potem dwoma taksówkami do hotelu w centrum Warszawy, ale Pietrkiewicz zdecydował, aby jedną puścić wolno, a w drugiej usadowiliśmy się w trójkę oraz kierowca. Słuchaliśmy po drodze radia „Eska”, z którego muzyka przebiegała rozmowę, a my mówiliśmy między sobą jak starzy znajomi. Pisarz dawno nie był w Polsce, więc wypytywał nas o wiele spraw, a my byliśmy ciekawi jego wynurzeń. Dojechaliliśmy. Na miejscu okazała się, że pisarz nie będzie miał komfortowych warunków, bo nawet o kwiaty u salowej musiał się upomnieć, ale przecież był to hotel czterogwiazdkowy. Później dopiero spotkałem Pietrkiewicza na uroczystości przyznania mu nagrody Pietrzaka. Laudację wygłosił wtedy Wiesław Myśliwski, który wysoko podnosił wartość kultury ludowej w ogóle, a z niej wyrosła twórczość Pietrkiewicza. Wspominał, że ta kultura wyrosła z biedy, co może i jest prawdą, bo teraz, przy podwyższonym standardzie życia na wsi, kultura ludowa nie powstaje. Pietrkiewicz potem czytał swoje wiersze z okresu młodości, bo w ostatnich latach ich nie pisał, i podkreślał, że swoją twórczość zawdzięcza Ziemi Dobrzyńskiej, na której się urodził. Był oddany swoim stronom rodzinny i podkreślał, że często mylnie pisze się, że pochodzi z Kaszub czy z Pomorza. Wspominał jeszcze o swoim rodzie, który dawno temu jak na ród chłopski uwiecznił się w historii, bo jego praprababcia z rodziny matki, Kurapotowna, została narysowana ręką Chopina w czasie, kiedy przyjeżdżał na wakacje na Ziemię Dobrzyńską i pod słuchiwał kujawiaki i oberki, których rytm posłużył mu potem do kompozycji muzycznych. To spotkanie utkwiło mi dobrze w pamięci i z tego względu, że sprzedawany był na nim wybór wierszy poety, który adiustowałem przed drukiem, pierwszym drukiem jego wierszy po wojnie u nas w kraju. Wiem z kontaktów z Tomaszem Jodełką-Burzeckim, który był znawcą twórczości Reymonta, że Pietrkiewicz chyba wcześniej, pisząc do niego list, chwalił mnie za napisanie recenzji do „Kierunków” z jego zbioru szkiców literackich „Literatura polska w perspektywie europejskiej”. Ale to zaszło wcześniej, potem nastąpiło moje spotkanie z pisa-

rzem z okazji przyznania mu nagrody, a drugi raz widziałem się z nim w Szafarni na Ziemi Dobrzyńskiej, kiedy przyjechał tu specjalnie w swoje strony rodzinne. Było uroczyste i podniosłe. Cała wycieczka jechała na to spotkanie daleko na północ, a później – pełni wrażeń – widzieliśmy, że Pietrkiewicz to wielki pisarz, znakomity ambasador naszej kultury w Anglii.

**– Uczęszczałeś na spotkania z wieloma ciekawymi, znakomitymi twórcami, ale chyba gratką dla ciebie było zetknięcie się z ikoną twego pokolenia – jak zwykle nazywać się wielkich idoli – Adamem Zagajewskim. Jak do tego doszło?**

– Adam Zagajewski kojarzy mi się z prekursorem i głównym reprezentantem okresu w literaturze polskiej lat powojennych, zwanego Nową Falą. Kiedy patrzę na jego osobowość z perspektywy czasu, widzę, że jest świetnym krytykiem literackim, trochę słabszym poetą, a mało znanym prozaikiem. Pierwszy po Barańczaku narobił takiego szumu wokół nowej tendencji w literaturze, która chciała poszerzenia rzeczywistości, w sztuce o świat nieprzedstawiony. Zagajewski, wymieniały zawsze, i chyba słusznie, przed Kornhauserem, wywarł na mnie ogromne wrażenie jako krytyk, współautor „Świata nieprzedstawionego”, który wyłamywał się z ciasno pojętego realizmu. Cieszyłem się, że jego koncepcja była na poły romantyczna, przynajmniej za taką ją miałem, gdy uznawałem ją za kontynuację przemysłań Barańczaka. Z tym też Zagajewskim, okrzykniętym wtedy za najjaśniejszą gwiazdę średniego pokolenia twórców, przyszło mi zetknąć się w auli Państwowej Szkoły Teatralnej przy ul. Miodowej w Warszawie. Młodzieży, ale i starszych przybyło na to spotkanie co niemiara. Usiadłem pośrodku prawego rzędu miejsc w tej sali, patrząc od jej końca, i czekałem cierpliwie na guru mego pokolenia. Przypomniałem sobie, jak zaczynała się moja przygoda z Nową Falą, kiedy kupowałem rozdyktowane numery krakowskiego „Studenta” i wychwytywałem treści nieprawomyślne wobec systemu myśląc, że tą drogą potoczy się nowa literatura. W ferworze polemik, enigmatyczności i niejasności nie widziałem w końcu, za czym opowiada się Nowa Fala (która jeszcze nie miała ustalonej nazwy) i wysyłałem w dobrej intencji własne, nieprawomyślne artykuły, nie uzyskując na nie odpowiedzi z redakcji ani nie doczekując się ich opublikowania. Może byłem śmieszny, bo jako student KUL-u chciałem, aby przemycać w nowej literaturze treści religijne. Tak sobie w głębi wspominałem początki moich kontaktów z Nową Falą, gdy jeszcze o Zagajewskim nic nie wiedziałem.

cdn.